Nr. 16. Lwów dnia 18. Maja 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie żądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*" wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nie myślimy tutaj rozbierać bynajmniej dzieł poetów romantycznych, byłaby to rzecz długa i zbyteczna. Któż bowiem z czytających nie zna u nas poezyi Mickiewicza (ballady 1822 — Grażyna, Dziady 1823), Brodzińskiego (Wiesław 1820), Malczewskiego? Któż nie słyszał o Odach i Balladach Wiktora Hugo (1821—1824) o Medytacyach Lamartina (1820 — 1322)! Oni to dali pierwsze hasło, za którem poszli we Francyi Alfred de Vigny, Musset i Ste Beuve, a w Polsce, pomijając mniej głośnych, Bohdan Zalewski i Seweryn Goszczyński. Pierwsza epoka poezyi romantycznej od r. 1820 do r. 1830 jest czasem walki przeciw klasycyzmowi. Różnicę między romantyzmem a klasycyzmem już wyżej wskazaliśmy, a łatwiej jeszcze będzie je rozeznać, jeżeli porównamy tu pobieżnie romantyzm francuzki z polskim i powiemy jaka między nimi zachodziła różnica.

U poetów francuzkich widzimy, że forma jest największą ich troską. Medytacye Lamartina, będące pod tym względem arcydziełem poety, który sam ich potem nie przewyższył, odpowiadały przytem potrzebom swego pokolenia, goniącego za wiarą i poezyą. Odnawiając Chateaubrianda z jednym urokiem więcej, bo wierszem, opiewa Lamartine katolicyzm i piękność jego poetyczną; jak poprzednik maluje w dziełach ten smutek tajemniczy, któremu dano nazwę choroby wieku; jak on miłuje i opisuje naturę, jak on nareszcie z uwielbieniem bóstwa łączy ubóstwienie kobiety i stawia, że tak powiem, na jednym ołtarzu Elvirę i Jehowę. Nawet pod względem politycznym jest, jak Chateaubriand, obrońcą idei monarchicznej, opłakuje krwawą śmierć księcia de Berry, opiewa urodzenie księcia de Bordeaux i przeklina, podziwiając wielkość, zwyciężonego Napoleona. Dadajmy, że cudowna jego mowa przypomina śpiewnością styl Rasyna, że zamiłowanie natury jest w nim uczuciem najprawdziwszem i najgłębszem i że mniemany jego chrześcyanizm nie jest niczem innem jak temże uwielbieniem natury, której Bóg jest jakoby tylko tajemniczą i nieskończoną duszą.

W odach Wiktora Hugo napotykamy te same mniej więcej poglądy: jest to zawsze pochwała monarchii i katolicyzmu, nienawiść gwałtowniejsza jeszcze do rewolucyi i jej nadużyć, toż samo przekleństwo miotane na Napoleona, ale to wszystko powierzchowne, gotowe przemienić się pod wpływem wypadków i namysłu, w głębi uczucie natury, a przedewszystkiem miłość sztuki dla sztuki, troska o koloryt, szukanie rytmów nowych, liryczniejszych strof i powiązania wierszy swobodnego i artystycznego, a nawet, mówiąc prawdę, poświęcenie myśli częstokroć formie. Jednem słowem są to próby młodości ważność swoją z małym wyjątkiem zawdzięczające więcej materyalnej reformie poezyi, aniżeli wzniosłości myśli lub uczucia. Ballady w ogóle późniejsze są także w swoim rodzaju doskonalszemi. Odtworzyć legendy średnich wieków i wynaleźć rytmy odpowiednie do ludowego ducha owych czasów jakoby wskrzeszonych, taki cel podwójny nakładał sobie poeta w tych utworach dziwnych, ale zawsze zdradzających gieniusz albo co najmniej talent pierwszego rzędu. Tem się wtenczas Hugo różnił od Lamartina, że na tem samem tle wyobrażeń jest przynajmniej reformatorem języka poetycznego i wyświeca wszystkie nieznane dotąd bogactwa francuzkiej poetyki. Wiktor Hugo jest wówczas poetą artystów, a Lamartine poetą salonów.

Obok tych dwóch młodych ludzi, których nazwiska już od pierwszego ich dzieła oklaskami przyjęte zostały, stawimy pisarza z mniej głośnym nazwiskiem, ale będącego poetą dusz wzniosłych i czułych, autora poematów biblijnych i ewangielicznych: „Mojżesza" i „Eloi," chcę mówić o Alfredzie de Vigny.

Ten nie myśli zrazu o żadnej reformie, idzie tylko za natchnieniem, opiewa upłynione czasy, które mu wiarą wiecznie uobecnia, otulając je w tajemniczą i wdzięczną

mgłę i wprowadza czytelników do nieba pośród aniołów przed oblicze Boga, a zdaje nam się, że on nie zmyśla, że on to wszystko widział, a widział w istocie w religijnych marzeniach, kiedy odrywał się od nudów wojskowego życia, dając się unosić duszy i wyobraźni w „rajską dziedzinę ułudy.“ Forma mniej jest u niego wykończoną jak u poprzednich poetów, wiersz nie jest tak dobitny, braknie mu czegoś, ale myśl poetyczniejsza głębiej wzrusza duszę, więcej w niej wrażeń tajemniczych budzi. I on czuje naturę, chociaż ją nie tak żywymi maluje kolorami, jak Hugo i Lamartine; jest on równym im poetą, ale nierównym artystą. Czytając „Eloę,“ arcydzieło jego, podziwiać trzeba tę anielicę zapożyczoną od Klopstocka, a przeniesioną przez Słowackiego do sybirskich śniegów; wtenczas mimowolnie przypomina się wielkość wyobraźni, głębokość myśli, chrześcyanizm pełen przekonania, mistycyzm i wszystkie powietrzne tęcze, które nas w „Przedświcie“ Krasińskiego czarują, ale tu, jak w Anhellim Słowackiego, jest oprócz tego inne jeszcze natchnienie, patryotyczne, które rzadko kiedy napotykamy w poezyi francuzkiej.

Jednakże w tym samym czasie śpiewał wciąż już wspomniany poeta jeżeli nie narodowy, to przynajmniej ludowy, Béranger. Pieśni jego uzupełniają dzieło Messeńskich śpiewów (*les Messéniennes*) Kazimierza Delavigne. Wśród szalonych uniesień na cześć Bachusa lub płochego Kupidyna, spotykamy tam niekiedy to czułą elegię, to pełną zapału odę, lub też dowcipną satyrę należycie chłoszczącą najeźdźców i rząd przez nich zrestaurowany, smagającą rózgami Vilainton'a (Wellingtona), grubego Nabuchodonozora (Ludwika XVIIIgo) i OO. Jezuitów. Myśl filozoficzna kryje się także w żartach: religia Voltaira, ta, podług Napoleona, jedyna religia Francyi, zasady Horacego i Epikura, a oprócz tego uwielbienie ojczyzny zbyt często uosobionej w cesarzu, przedstawiają w tych pieśniach wierny obraz wyobrażeń ludu, którego Béranger jest w literaturze francuzkiej najprawdziwszym reprezentantem.

Mieszczaństwo ma także swojego poetę; ten posługuje się formą dramatyczną tak zawsze gieniuszowi francuzkiemu drogą, a stanowi średniemu od czasów rewolucyi najprzystępniejszą. Mieszczanie zostawiają Medytacye dostojnym chrześcyanom arystokratycznych salonów, ody i ballady poetom z rzemiosła i artystom, mistyczne poematy wzniosłym marzycielom, śmiałe zaś piosenki robotnikom; sami spieszą przypatrywać się własnym obyczajom w sztukach p. t. *les Comediens*, *l' Ecole des Vieillards* lub przyklaskiwać historycznym wspomnieniem i politycznym alluzyom w *Nieszporach Sycylijskich*. Ich poetą jest Kazimierz Delavigne, protegowany przez przyszłego ich króla, Ludwika Filipa Orleańskiego.

Jeżeli dodamy kilka mniej głośnych nazwisk, mianowicie Karola Nodier, panią Delphinie Gay (później panią Emile de Girardin) i panie Tastu i Desbordes Valmore, uzupełnimy ten obraz pierwszej epoki poezyi romantycznej we Francyi od r. 1820 do 1827.

Od r. 1828 do 1830 nowi dwaj poeci wstępują na horyzont: St. Beuve, który przyłączywszy się do zastępu romantyków i napisawszy szorstką prozą rymowaną płaczliwe wiersze wręcz przeciwne jego naturze, porzucił poezyę i stał się największym krytykiem naszego czasu, drugi zaś Alfred de Musset, który zaczął od wyśmiewania tak klasyków jak romantyków w sławnej odzie do księżyca, a w całym swym pierwszym zbiorku poezyi żartuje ze wszystkich i z siebie samego i z moralności samej, chociaż czasami uczucie wybucha pod śmiechem i ironią; łatwość wierszy nadzwyczajna, której młody poeta jeszcze nadużywa igrając sobie z rytmami, dowcip niewyczerpany, są jednak dotąd największymi zaletami tego, który wkrótce sam zabłyśnie na niebie poezyi francuzkiej. Lamartine powtarza się: Harmonie jego nie warte medytacyi; uczucie chrześcyańskie nie płynie w nich z serca — kilka zaś nowych Medytacyi zjednają poecie uwielbienie. Viktor Hugo i Vigny prowadząc dalej zaczętą reformę, próbują nadać sztuce teatralnej nową dążność i kierunek. Vigny pisze Chattertona, Victor Hugo Cromvella ze sławną podówczas przedmową a później Hernaniego. Jest to ostateczne zerwanie z obozem klasyków, do którego liczył się jeszcze Kazimierz Delavigne; sąd o sporze oddany publiczności wahającej się jeszcze między nawyknieniem a nowością. Pośród tej walki wypada na świat rewolucya r. 1830, która zwycięztwo zapewnia romantyzmowi.

W Polsce pierwsza ta epoka zupełnie się od francuzkiej różni: Brodziński, naśladując niby jedno z dzieł Goethego w Wiesławie, natchnął się jednak obyczajami a nawet poezyą ludową, a chociaż nieśmiało, przemawia także do uczuć patryotycznych ulubionych wieśniaków. Mickiewicz w Balladach, w Grażynie, w pierwszych częściach Dziadów, chociaż naśladował czasem Schillera, Goethego, czasem też Byrona, szukał także natchnienia w poezyi ludowej i rozmiłowany jak Hugo w średnich wiekach, był jednak o tyle szczęśliwszym, że znalazł w dziejach Litwy i w walkach jej z Krzyżakami wcale oryginalną kopalnię bogactw poetycznych, z których umiał stworzyć oprócz wyżej wymienionych dzieł i Konrada Wallenroda. Ale nie na tem jeszcze koniec: poeta wprawdzie opowiada dzieje dni minionych, lecz przeszłość ta daleka tak do teraźniejszości podobna; walka z obłudnym rycerzem teutońskim tak przypomina walkę z innym groźniejszym jeszcze wrogiem, że ten powrót poety do przeszłości nie jest jak w poezyi p. Hugo prostym tylko archaizmem i rodzajem poetycznej archeologii, ale najlepszym sposobem budzenia, zachęcania narodu, wiążąc dawne czasy z nowymi, i urzeczywistnienia marzenia poety.

Możeby jeszcze w tej jedynej chwili
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Zresztą nie zawsze tak objektywnie i pod zasłoną przeszłości, lecz otwarcie także przemawiał już wtenczas poeta „brzmiącemi słowy do serca współbraci.“ Nie ma nic tak wzniosłego i tak śmiałego w poezyi francuzkiej jak oda do młodości: wiara w przyszłość świata i w siłę młodych pokoleń mających go „nowymi pchać tory“ nigdy i nigdzie tak wymownym, tak natchnionym głosem nie była objawioną.

Do kogoż mógłbym porównać Bohdana Zaleskiego, którego dumy pierwsze wyszły na świat w tymże samym czasie? Romantyzm europejski nic nie wydał tak oryginalnego, tak ponętnego, tak czarującego, jak te skrzydlate wiośniane pieśni śpiewaka ukraińskiego. Ale jeżeli nie jest on podobnym do żadnego poety europejskiego, niemniej charakterystycznem będzie przypomnieć sobie, że Francya miała jednocześnie swego piewcę ludowego w osobie Berangera, i porównać rodzaj ich natchnienia. Najlepiej uczuje całą różnicę, jaka dzieli gieniusz polski od francuzkiego, kto przeczyta choćby kilka wyżej wymienionych pieśni Bérangera i znane od wszystkich dumy Bohdana; tam wesołość nic nie szanująca, arcyśmiała, wyuzdana, tu nawet w najweselszych pieśniach jakaś

stepowa na dnie melancholia, tam satyra stronnicza, gwałtowna, dowcipna, przebierająca miarę, tu serdeczne, tęskne przywiązanie do ziemi ojczystej, do jego przeszłości, tam materyalna, że tak powiem, miłość upokorzonej ojczyzny, tu poetyczny ślub czułej duszy z ziemią mogił, którę poeta zaludnia to lecącymi wesoło ptaszkami, to dawnymi hetmanami Zaporoza, tam pozytywizm w religii jak w zasadach moralnych, tu uczucie czyste i silne, tam proza w najobszerniejszem znaczeniu wyrazu, tu poezya w najidealniejszem jej pojęciu.

(C. d. n.)

Z „PIEŚNI HELLEŃSKICH"

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO.

IX.

APOLLIN — SŁOŃCE.

W poniższym ustępie starałem się odtworzyć filozoficzną myśl kultu Apollinowego w Grecyi, zbierając w nim wyniki najnowszych badań uczonych nad istotą tego mytu.

W przeźroczem źwierciedle Kassotis *) twarz kąpię,
Wejrzeniem mu lśniącem rumienię fal wstęgi,
W różany dziergam blask,
Gdy w słońca koronie na błękit wystąpię
I tchnieniem powione w drzemiące gwiazd kręgi
Jutrzenki ścieląc brzask.

W ślad marzeń zamglonych i złudzeń wyśnionych
Ja w gwary Myceńskie i gaje mirtowe
Promieni rzucam splot.
Po nocach pieszczonych, łez rosą zwilżonych
Ja płynę natchnieniem na życia osnowę,
Wyskrzydlam ducha lot.

I słońcem się wzniosę nad ciszę mogilną,
Helleńskich odsłonię przeznaczeń koleje
I bożych zrządzeń bieg,
I zstąpię zaklęciem w ćmę duchów bezsilną
I pieśni Delijskie i laury rozsieję,
Aż gdzie Olimpu brzeg.

Nie one, w mgle szarej postacie zwinięte,
Aisu bez dźwięku snujące się cienie,
Jak Homer pieśń wam niósł;
Lecz życie uściskiem wieczności ujęte *)
I Zeusa objawień rozleję strunienie,
Apollo Kynthios!

Święte Kastalskich ożywię wód zdroje
I blaskiem czystości osrebrzę wam skronie
Myjąc przewinień ślad;
I dźwięki poezyi Helleńskiej nastroję
W natury i ducha łagodną harmonię,
Pięknością stworzę świat.

W jutrzenkach różanych i wdziecznem Muz gronie
Ja grzeję na słońcu mem ziemskie to plemię
Przyszłości wieszcząc los;
I w leśnem pomroczu i lauru koronie
Z niebiańskich błękitów spoglądam na ziemię,
Apollo Delfios!

*) Kassotis — źródło u stóp świątyni Apollina w Delfach płynące.

*) Wiara w nieśmiertelny żywot duszy zaświeciła nad Grecyą dopiero pod słońcem kultu Apollina. Drugi świat u Homera jest snuciem się bezdusznych cieniów.

(Przyp. aut.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

X.

Dalszy ciąg opowiadania Silvy.

Po tym dniu wiele innych dni przebiegło i każdy z nich wiązał mię coraz ciaśniej z gościnnym gospodarzem. Zostawszy członkiem patryotycznego stowarzyszenia, którego był on najczynniejszym przewódzcą, zaniechałem, ma się rozumieć, dawnego mego projektu wstąpienia do wojska. W równej mierze z dniami biegły i wypadki. Rodzina królewska opuściła Hiszpanię i udała się do Bajonny z rozkazu Napoleona. Księcia Asturyi tamże uwięziono i przytrzymano. Godoy odarty z dostojeństw, zhańbiony i skruszony ciosem ludowej rewolucyi w Madrycie, smutnie zakończył swój zawód polityczny i zszedł na zawsze ze sceny. Nie było więc nikogo u steru rządu, nikogo takiego coby mógł spełnić posłannictwo ratunku zagrożonej Hiszpanii stawiąc opór jednolity najezdniczym siłom Francyi. Naród poczuł niebezpieczeństwo. Sam objął najwyższą władzę nad sobą i porwał się do broni. W siołach, grodach i wąwozach Sierry rozległy się hasła pobudki, zadzwoniły oręże i krew trysnęła potokiem. Mauresa, Lerida, Oviedo, Valladolid, iskry zwiastunki pożaru, rozogniły się kolejno. Logrono pograniczne z Navarrą i Aragonią powstało za niemi. Santander także. Mnich, franciszkanin Rico, stanął na czele ruchu Valencyi. W dwa dni po Kartagenie i na tyleż przed Sevillą, 24go Maja powstał Józef Palafox de Melci, człek młody i dzielny, powołał Kortezów Aragonii, nakazał ogólne uzbrojenie mas ludowych i ogłosił Saragossę centrum prowincyonalnej obrony. Trudno było Francuzom rozstrzelić się na tyle punktów od razu i zdążyć w porę dla uśmierzenia ruchów. W kraju gór pospiech niepodobny. Skwar, znój i nieustanne napady gierylasów jeszcze go niepodobniejszym czyniły. Wojna wstąpiła w swą najstraszliwszą fazę mordu dla zemsty, mordu bez litości!

— *Per Dios!* Teraz nasza kolej! — rzekł Gil Galego, wróciwszy z długiej wycieczki po kraju dla finalnej organizacyi oddziałów i wskazania im punktów

kierowniczych ruchu. Jutro odbędziem przenosiny do jaskini *Cavadonga*, a pojutrze marsz na Francuza!

— O jakich to mówisz przenosinach? — zapytałem zdziwiony.

— *Caramba!* Nie zostawię ja tu — odparł — ani Antonii i Virgen, ani mojego mienia. Andujar jest punktem przechodowym. Lada moment wpadną tu Francuzi. Nie ma bezpieczniejszego schronienia od jaskini *Cavadonga*. Skryję tam co mam najdroższego.

Nazajutrz rano opuściliśmy domek gościnny, w którym tyle przeżyłem czasu spokojnie i przyjemnie. Antonia i Virgen jechały na jednym z wozów ładownych ruchomym majątkiem Galega. On i ja towarzyszyliśmy im pieszo. Czterech zbrojnych ludzi zamykało karawanę. Virgen szczebiotała swoim zwyczajem. Antonia była zamyśloną i smutną. Sięgała ona głębiej w przyszłość, nie mogła być zatem wesołą. I Galego był więcej milczącym i uroczystszym niż zwykle. Czuł się w obec przeważnej chwili życia. Gotował się przekroczyć krąg nowych przeznaczeń swoich. Co do mnie nieposiadałem się z radości. Dwa następstwa zarówno pożądane widziałem przed sobą — śmierć chwalebną za ojczyznę, lub życie rycerską zasługą uszlachetnione. W pierwszym razie pozostałbym w pamięci mężnych, w drugim pozyskałbym prawo sięgnąć po najdroższą nagrodę serca — po moją Carmen, wiecznie w marzeniach duszy przytomną, wiecznie jej pożądaną i drogą.

Wieczór opadał kiedyśmy u wnijścia jaskini stanęli. Wnet buchnęło ognisko. Antonia i Virgen zajęły się gorliwie przyrządzeniem wieczerzy z prowizyi przywiezionych z Andujar. Galego przewodniczył tymczasem wyładowaniu pak i tłumoków, które w głębokiej samorodnej framudze pomieścić kazał. Potem zajęliśmy się wojennym przyborem na jutro. Uzbrojenie moje było takie same, jak i Galega. Pas skórzany z ładunkami, za pasem *navaja* i para lekkich pistoletów, przez plecy długie *trabuco* dalekiej mety a na głowie szerokie *sombrero* z kokardą narodową.

Nie będę się rozwodził nad szczegółami tej nocy, poprzedzającej rozstanie się nasze z dobrą Antonią i poczciwą Virgen. Ledwie świtać zaczęło, byliśmy już w pogotowiu. Antonia tkliwa uściskała ojca, Virgen swego dziadunia. Obie płakały gorzko odprowadzając nas do gościńca, zkąd, przyjąwszy błogosławieństwo Galega, wzruszonego do głębi duszy, odeszły nazad do swojej kryjówki.

Nadtobym was utrudził, żebym zechciał rozdrabiać opowiadanie moje na szczegóły dla mnie tylko cenne, dla was zaś zbytnie jeżeli nie uciążliwe. Co do okresów samej tej straszliwej wojny z obu stron zawziętej i nielitościwej należą one do historyi i nie ma takiego zapewne, coby ich nie znał dokładnie. Opowiem wam zatem główniejsze tylko fakta, bez których narracya moja i tak już za długa pozostałaby bez rozwiązania.

Segovia, Caberon, Logrono, Tudela pozostaną na zawsze w dziejach tej wojny. Walczyłem tam obok Galega, którego wytrwałość i męztwo w tych dniach trudu, znoju i niebezpieczeństw nie miały sobie równych. Zmuszeni wkroczyć do Aragonii skutkiem naporu sił nieprzyjacielskich w tę stronę, pospieszyliśmy do Saragossy, gdzie nas Palafox pod swoje znamiona zaciągnął.

Komuż obca ta krwawa karta wstępnych lat dziewiętnastego stulecia? Czy jest taki, coby nie słyszał o sławnym szturmie Saragossy, lub nie czytał straszliwych okresów tego wielkiego dramatu bojów, tej olbrzymiej epopei męztwa? Tam bój nie był bojem, był rzezią, wściekłością, rozpaczą, szaleństwem, dochodzącem do czynów zgrozy i bestyalstwa. Nie było formy, jakiejby tam śmierć nie przyjęła. Nie było narzędzia, któregoby zniszczenie użyć zaniechało. Stal rąbała, kule gruchotały, dym dławił, ogień przetrawiał, mury gniotły, pięście tłukły, zęby szarpały! Męztwo stawało się tam ohydnem w obłąkaniu swojem. Nie było ono ludzkiem ale szatańskiem. Najświętsze uczucia natury w lód się tam ścinały. Matki mordowały swe dzieci i samobójstwem rozpacz swą gasiły.

Wszędzie gromy dział, grady bomb, kupy rumowisk, stosy trupów rozdartych, rozbitych, rozmiażdżonych, sączących z siebie tyle krwi pienistej, że bystra Huerba zdawała się wstęgą ruchomej czerwieni, której wody Ebru długo opłukać nie mogły.

Galego i ja znajdywaliśmy się na pozycyi w klasztorze Santa Engracia, do którego Francuzi szturm przypuszczali. Była to budowa mocna, wysokim murem opasana i mająca na rogach baszty ze strzelnicami. Świeże zaciągi ochotników stanowiły jej garnizon. Naczelnikiem naszym w tym punkcie był margrabia Lassano, brat Palafoxa.

Dzielny to był człowiek, istny *hidalgo* dawnej daty, co to, jak powiadają i do boju i do pokoju, i na wyłomie pierwszy i do szlachetnego czynu nie ostatni. A przytem takiej energii ducha, jak Bóg wyłącznych tylko ludzi obdarza.

Wybiwszy wyłom w obwodowej ścianie, Francuzi skupili się w gęstą kolumnę i uderzyli do szturmu.

Galego i ja broniliśmy wyłomu z wyborowym ludem Aragonii. Margrabia Lassano był przy nas. Stał nieporuszony w najgęstszym ogniu, jakby szydząc z kul, co mu koło uszu świstały.

— *Per Dios!* — wołał do nas — a nuż palcie celnie w tych łotrów! motłoszcie ich na miazgę! Niech żyje Hiszpania!

Tysiąc głosów powtórzyło ten okrzyk wodza. Tysiąc kul poleciało w szturmującą tłuszczę.

Wtedy Lassano podszedł do mnie i ukazując jednego z najwaleczniejszych oficerów francuzkich, co prowadził kolumnę, rzekł:

— Wpakuj mu kulę w serce a zrobię cię oficerem.

— Biję się nie dla rangi — odpowiedziałem — i nie przyjąłbym jej. Lecz dla ojczyzny spełnię twój rozkaz.

I wziąwszy na cel, strzeliłem.

Potoczył się oficer. Francuzi porwali go i unieśli.

W tej samej chwili zrobiło się zamięszanie w naszym szeregu. Głuchy jęk przebiegł po tłumie walczących.

Spojrzałem. Galego leżał bez duszy, kulą ugodzony w serce. Szczęśliwy! Nie dożył upokorzenia naszego! Nie dożył upadku Saragossy!

Bój trwał do nocy. Broniliśmy się do upadłego. Nie pomogło! Bóg widać chciał, żebyśmy ulegli — i ulegliśmy!

Ze szturmu Saragossy wyniosłem chlubną wzmiankę o mnie w rozkazie dziennym Palafoxa, dwie rany i żal głęboki po mężnym Galego. Pogrzebaliśmy jego ciało z honorami wojskowymi. Sam Palafox rzucił na trumnę mężnego syna ojczyzny pożegnalną garść ziemi i rzewnemi słowy żal swój wynurzył.

Po zajęciu miasta przez Francuzów oddaliłem się w góry aragońskie, gdzie mię jeden poczciwy *gerila*, daleki krewny Galega przechował u siebie i wyleczył.

— Otóż macie, moje Panie — rzekł po chwili Silvo — maleńki szkic jednej ze scen przeszłości mojej. Kazałyście — byłem posłusznym. Jeżelim was znudził,

sameście temu winne. Na co było ciągnąć za język starego gadułę?

— Ależ bo to jeszcze nie koniec! — wykrzyknęły damy — Któż widział tak kończyć!

— Jakiegoż to panie końca chcecie? — odpowiedział staruszek. *L' histoire d' un homme ne finit. qu'à sa mort...* A ja żyję przecież. Po mojej śmierci opowiem resztę.

— O sobie, — zawołała żartobliwie księżna Sutzo — ale za życia opowiedz nam tymczasem o tych osobach, któreś do akcyi wprowadził — o Antonii, Virgen, a zwłaszcza o twojej miłej Carmen. Wszak mamy prawo żądać tego?

— Nie przeczę!—przemówił smutnie Silvo.—Ale cóż wam powiem o nich, moje panie? Są to już prochy tylko — cienie — mary przeszłości mojej! Przemknęły przedemną gdyby sny ulotne i nic mi po nich nie zostało krom wspomnienia i żalu! Antonia i Virgen znikły gdzieś bez śladu. Don Perez Vasconvallos zginął w obronie Korduby, kiedy Francuzi do niej wchodzili. Juannita, Dolores, Pepita i Carmen, biedna moja Carmen, umarły śmiercią okropną, zamordowane przez Francuzów!

Okrzyk zgrozy i litości wyrwał się z piersi słuchaczy. Silvo skłonił głowę i westchnął. Poczem ciągnął dalej:

— Wyleczywszy się z ran moich pospieszyłem do Korduby. I cóż? Nic już tam nie zastałem i nikogo. Gdzie był dom Don'a Perez'a, czerniała kupa przepalonych rumowisk! A kiedym zapytał przechodniów o tych, co w nim mieszkali, jeden wyrzekł ponuro:

— Pytaj ziemi!

Drugi opowiedział mi straszliwą historyę ich śmierci.

A trzeci dodał:

— Ciała ich spłonęły tu, pod tymi gruzami!...

Zawyłem jak zwierz dziki i padłem bez zmysłów. Głębokie milczenie zaległo galeryę. Damy były wzruszone. Niejedną łzą zaperliła się źrenica.

Silvo powstał z miejsca. A gdy ochłonął ze wzruszenia przemówił:

— Dajmy pokój umarłym! Nie trwożmy snu ich! Szczęśliwsi oni od nas, a więc nie przerywajmy ich szczęścia!

(C. d. n.)

Myśl więzienna.

Jest w podwórku więzienia mała kwiatów grządka,
Grządka werben i astrów — uboga lecz wdzięczna,
I woń cię tam rezedy doleci z zakątka
I zapachnie ci róża — bledziuchna — miesięczna.

O jakże to ja kwiaty za młodu kochałem!
I róże i konwalie — rezedę — tymianki —
I nieraz listek róży do ust przyciskałem
Marzący, że usteczka całuję kochanki.

Już jesień... suche liście opadają z drzewa,
Mnie troska siwiejący na głowie włos rzednie.
Z więziennej mej różyczki wiatr listki rozwiewa —
A Moja — tam — na świecie — więdnieje i blednie.

Jeszcze listek! ostatni! Wiatr go na mnie rzucił,
Z wietrzykiem padł na usta — jak całus z westchnieniem,
I spokój w mojej piersi zdobyty zakłócił
Relikwią mego szczęścia — młodości wspomnieniem!

Po jesieni — po zimie powróci znów wiosna,
Znowu młodym się liściem drzewo zazieleni,
Znowu róża rozkwitnie — czarowna, miłośna —
Nam tylko nie ma wiosny po życia jesieni.

...aw. ...i.

O przywilejach i ceremoniach

w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

Wszystko, co otacza człowieka na ziemi, ulega nieustannemu rozwojowi, ciągłemu prawu postępu. Cały nieogarniony świat materyi, pełen najpiękniejszych barw i najczystszych dźwięków natury, cały świat ducha, tajemniczy ale wielki i wspaniały, cały ogrom wszechbytu nie zna nigdy spoczynku. Wśród wiecznego ruchu i wiecznej pielgrzymki, jak gdyby ciążył na nim jakiś wyrok przeznaczenia, nie może nigdy spocząć, ale w wiekuistej walce zdobywa sobie każdą nową chwilę życia i nowy moment egzystencyi. Siły objawiające się w materyi ścierają się z sobą nieustannie, a wśród tej powszechnej walki o byt powstają coraz nowe i coraz doskonalsze istności.

I w świecie ducha walka jest nieustanną. Pojęcia i przekonania ścierają się ciągle, a po upadku jednych, przeżytych, powstają nowe, żywotne idee. I ztąd te radykalne zmiany w powszechnych pojęciach i przekonaniach. To co dawniej było deptanem, dzisiaj czczą całe ludy, o czem dawniej marzenia ani przeczucia nawet nie było, dzisiaj jest prawdą bijącą w oczy.

Może nic więcej nie tłómaczy nam lepiej tych zmian, które przynosi z sobą duchowy postęp cywilizacyi, jak historya społecznych związków. Życie towarzyskie jest koniecznością, człowiek po za społeczeństwem nietylko rozwijać się, ale nawet istnieć nie może, bo przecież do wypielęgnowania dziecięcia potrzeba co najmniej rodzimego związku. Późniejszy rozwój człowieka nowych wymaga towarzyskich ukształtów i dla tego w kolei czasu społeczne urządzenia mnożą się, coraz nowe i bardziej skomplikowane przybywają ich formy, a kulminacyą tego rozwoju życia społecznego jest państwo. Długi czas po za państwem nie było już żadnej nowej społecznej formy. Narody granicami państwa ścieśnione nie uznawały się, co więcej, jako dogmat społeczny proklamowano powszechnie: przeciwko obcym możebną jest tylko nieprzyjaźń, cudzoziemiec znaczył tyle co nieprzyjaciel, a niewolnik nie był za człowieka uważany. W stanie takiego dzikiego odosobnienia narody starożytne przeżyły wiele wieków, bo w starożytnej kulturze nie było nic, coby je zbliżyć do siebie mogło. Dopiero Chrystus podniósł moralną go-

dność człowieka, co gieniusz starożytnych mędrców nie odkrył, to wypowiedział ubogi człowiek, przez którego usta przemawiał duch boży. Potęgą tych słów pełnych prostoty i najgłębszej prawdy cała ludzkość została odrazu wprowadzoną w świat nowy, etyczne zadania życia zostały pojęte, a około wspólnych jego dążności skoncentrowane narody, stanęły jak gdyby wieńcem około jednego ogniska, a kiedy jedne dążności ożywiały ich sumienie i jedne uczucia uderzały w ich sercach, więc wspólnie splotły swe dłonie do wzajemnej pracy. Odtąd, kiedy idea wspólności celów wszystkich ludzi i wszystkich narodów została pojętą, ludy całego cywilizowanego świata pojęły się jako jedna wielka europejska rodzina, zamiast z ogniem i mieczem, jak dawniej, przychodziły do siebie z braterskiem uczuciem, w imię wzajemnych potrzeb i wspólności pracy. To też w najnowszych czasach narody coraz częściej zaczęły się zbliżać do siebie, a nawet co więcej w uznaniu stałych wzajemnych potrzeb wypowiedziały konieczność zawiązania stałych między sobą węzłów, przez ustanowienie organów powołanych do sprawowania interesów narodowych w zakresie obcego państwa. Zasady postępowania państw w zewnętrznych między sobą stosunkach stanowią dyplomacyę a organami powołanymi do ich załatwienia są albo sami naczelnicy rządów albo ich posłowie umyślnie w tym celu do obcego państwa wysłani, t. z. posłowie dyplomatyczni. A więc w różnicy od dyplomatyki, t. j. nauki o odczytywaniu i zrozumieniu starych dyplomów, dyplomacya jest nauką obejmującą zbiór prawno-politycznych zasad postępowania państw w zewnętrznych między sobą stosunkach. Posłem zaś dyplomatycznym (Gesandte, ministre public, agent politique ou diplomatique, agent des relations exterieurs) jest urzędnik państwowy, wysłany przez panującego do obcego państwa dla załatwiania w niem interesów swojego narodu i dworu i w tym celu pewien czas w niem przebywający.

W historyi spotykamy poselstwa dyplomatyczne albo czasowe, mające pewną szczególną misyę państwową lub dworską, jak zawarcie pokoju, wyrażenie powinszowania lub współubolewania, albo stałe, przeznaczone do ciągłego z obcem państwem negocyowania. W owych czasach, gdy narody żyły jeszcze w odosobnieniu i wzajemnie o sobie wiedzieć nie chciały, były dla załatwienia chwilowych stosunków poselstwa czasowe, tak że po ich załatwieniu posłowie natychmiast powracali do ojczyzny. Takie jednak poselstwa spotykamy nawet u Egipcyan, Chińczyków i Izraelitów. W starożytnej Grecyi używano jako posłów do obcych państw kapłanów i znakomitych mowców; tak Temistokles był wysłany z Aten do Lacedemonii, zkąd nawzajem trzech przybyło posłów do Aten, a Aleksander Macedoński przyjmował w Babilonie wielu bardzo posłów. W Kartago miało być niemało biegłych dyplomatów, a w Rzymie przy coraz częstszych negocyacyach z sąsiedniemi państwami wyrobiły się nawet zasady prawne co do wypowiadania wojny, zawierania traktatów pokoju i przymierzy. W wiekach średnich Karol Wielki, papieże, wielu z królów francuzkich, a szczególniej włoskich celowało w dyplomacyi. Stałe poselstwa wprowadzali pierwsi papieże, mając swych wysłańców na dworach: paryzkim, londyńskim i wielu niemieckich a wreszcie w Konstantynopolu. Przykład papiezkich legatów i nuncyuszów naśladował w wieku XV Ludwik XI we Francyi, gdy wysłał od siebie stałego posła na dwór londyński i nawzajem ztamtąd także posła otrzymał. Później w wieku XVI, mianowicie w r. 1565, Karol IX wysłał do Filipa II, króla hiszpańskiego, jako posła Rajmunda von Beccarie, barona von Forquevont. Przykłady te Francyi nie wiele wszakże zyskiwały naśladownictwa, aż dopiero w wieku XVI, po zaprowadzeniu stałych armii i rozszerzeniu się tajemnej polityki, dla dozoru nad swoimi interesami w obcem państwie, wysyłano coraz częściej stałych posłów do obcego państwa. Dopiero wszakże od traktatu Westfalskiego i od czasów Richelieu'go a więcej jeszcze od Ludwika XIVgo i Mazarini'ego wyrobił się powszechny zwyczaj utrzymywania przez państwa swych posłów na obcych dworach, tak że dzisiaj te tylko państwa poselstw dyplomatycznych nie urządzają, które do związku międzynarodowego państw Europy należyć nie chcą.

Wprawdzie nie ma żadnego obowiązku wysyłania posłów, wyjąwszy tam gdzie wyraźne w tej mierze zawarto umowy, ale jest to zarówno nakazanem przez osobisty interes państw jak i przez wymaganie t. z. zasady wzajemności w stosunkach międzynarodowych. Prawo ambasady, czyli zarówno wysyłanie jak i przyjmowanie posłów, tudzież określenie ich stanowiska w stosunkach międzynarodowych jest prawem władzy państwowej. A więc kto ją dzierży w jakim bądź charakterze, jako król, prezydent, czy jako regent, prawo to wykonywa. Rzecz jednak prosta, iż prawo to jako wyraz udzielności państw, tylko przez państwa udzielne wykonywane być może.

(C. d. n.)

WESELE,

komedya w jednym akcie

przez

Władysława Koziebrodzkiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena XVIII.

SABINA (*na stronie.*)

Trzeba korzystać, od niego tyle zależy.

ZYGMUNT (*na stronie*).

Zdaje się, że Sabinka bardzo z tego wypadku uradowaną; dobry znak...

SABINA (*wesoło*).

Więc to twój apartament kuzynku?

ZYGMUNT.

Tak.

SABINA.

A! jakże tu nieładnie, jak wszystko źle urządzone...

ZYGMUNT.

Ostro sądzisz kuzyneczko.

SABINA.

O gdybym ja tu była panią, przemieniłabym wszystko.

ZYGMUNT (*na stronie*).

Co za naiwność czarowna. (*głośno*) To niech ci się zdaje, żeś panią.

SABINA.

Szczerze?

ZYGMUNT.

Najszczerzej.

SABINA.

A więc do pracy kuzynku. Proszę, proszę tu... naprzód kanapkę tę trzeba przesunąć na środek salonu. (*przesuwają*) Jeszcze dalej, prędzej... I stół także... tak... a teraz fotele... ten tu, i ten także, ten nieco więcej w głąb — tak dobrze. A teraz tu przed kominkiem ten mały stoliczek i te taborety... o, nie dam ci spokoju kuzynku.

ZYGMUNT (*na stronie*).

Czarowna — tylko ten ból w kolanie, a przyznać się nie mogę.

SABINA.

I ten fortepian źle stoi, ale mu nie damy rady... A gdybyśmy spróbowali kuzynku?...

ZYGMUNT.

No, na kółkach przeniesiemy trochę...

SABINA.

Dobrze, już dosyć...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Ach! coby na to doktor powiedział?

SABINA.

A co? czy nie ładniej teraz?

ZYGMUNT.

Prawda! prawda! (*na stronie*) czarowna...

SABINA.

(*staje przed stolikiem*)

A to co? kwiaty? robione kwiaty? i takie brzydkie? do kominka trzeba je rzucić...

ZYGMUNT.

(*zatrzymując ją*)

Pamiątka!

SABINA.

Pamiątka? a od kogo? powiedz, od kogo kuzynku?

ZYGMUNT (*na stronie*).

Dałem sobie! (*głośno*) To jest od... od... a prawda, za pierwszy egzamin...

SABINA.

To co innego, lecz nie powinna stać w salonie — A, cóż za brzydka podstawka!... tak źle zrobiona! spalmy ją!

ZYGMUNT (*na stronie*).

Jest! (*głośno*) I to pamiątka...

SABINA.

Czy także za egzamin?

ZYGMUNT.

Nie. Ta... od leśniczego, za pierwszego zabitego rogacza!

SABINA.

I ona nie powinna być w salonie... Teraz wszystko dobrze! (*ogląda się i idzie ku statuom*) A to co zasłonięte kuzynku?

ZYGMUNT (*przyskakując*).

To niedokończone rzeźbiarskie roboty... Dałem słowo, że ich nigdy oglądać nie będę i dotrzymuję święcie...

SABINA.

Te obrazy... a dlaczego jednego nie ma?

ZYGMUNT (*do siebie*)

Jestem jak na torturach! (*głośno*) W naprawie...

SABINA.

Ah! jaka nieporównana fotografia... kuzynku! kto jest ta śliczna pani?

ZYGMUNT (*na stronie*).

Tego brakowało... (*głośno*) To... to jest...

SABINA.

Jaka prześliczna! jakie włosy... jakie oczy...

ZYGMUNT.

To... to jest kuzynka moja...

SABINA.

Nasza! która?

ZYGMUNT.

A! tak, prawda... daleka! bardzo daleka.

SABINA.

Która?

ZYGMUNT.

Umarła bardzo dawno! przed dwudziestu laty!

SABINA.

I fotografowana wtedy?

ZYGMUNT.

Tak, z opisu!... nie nie... z portretu.

SABINA.

Biedna, umarła tak młodo! a z czego ona umarła?

ZYGMUNT.

To smutna historya.

SABINA.

O! to powiedz, ja tak lubię smutne historye...

ZYGMUNT.

Rodzice nie pozwolili jej pójść za mąż, za kogo chciała... i umarła z rozpaczy...

SABINA (*ze łzami*).

Jakie to okropne!

ZYGMUNT (*na stronie*).

Co to będzie za skarb taka żona!...

SABINA (*ze łzami*).

O! jabym tak samo zrobiła, jabym umarła także...

ZYGMUNT.

Co za myśl tragiczna!

(*Antoni wchodzi i daje znaki Zygmuntowi.*)

Scena XIX.

SABINA, ZYGMUNT, ANTONI.

SABINA.

Kto wie?!... (*zaczyna się smucić*) Patrzaj kuzynku... Twój służący...

ZYGMUNT (*do Antoniego*)

Co takiego?...

ANTONI.

(*mówi doń po cichu.*)

ZYGMUNT.

A prawda! jaki też gospodarz ze mnie. Zapomniałem żeście pewnie głodne. Pozwolisz, iż odejdę na chwilę. (*wychodzi.*)

Scena XX.

SABINA (*sama*).

Jak tu zrobić? Tak, muszę, muszę... o wiem! Mama z pewnością tak powie... (*idzie przed fotografię*) Jabym tak samo zrobiła, jak ona... Umarła... umarłabym pewno... Ale to smutno, umierać tak młodo!...

Scena XXI.

SABINA, GWALBERT (*wystrojony*).

GWALBERT.

O! kuzynka Sabinka... jak wyrosła, ho! Panna już dorosła.

SABINA (*wesoło*).

I już na wydaniu... Tak, tak kuzynku, słyszałam jak to mówiła ciocia Karolcia, a mama mówiła, że jeszcze nie...

GWALBERT (*na stronie*).

Urocza! prześliczna! (*głośno*) Miałyście wypadek?

SABINA.

Mały! tylko się koło zepsuło. (*na stronie*) A gdybym? ja do niego miałam zawsze więcej przywiązania..

GWALBERT.

Jakże już dawno nie widziałem cię moja kuzyneczko!

SABINA.

Prawda, tyle lat! A ja biedna zamkniętą byłam na pensyi we Lwowie. Jak mi tam było smutno, jak mi tam było tęskno... Nieraz po dniach całych myślałam, kiedy ja wrócę do Gorowic? kiedy zjedziemy się znów wszyscy razem...

GWALBERT.

I będziemy ubierać lalkę, tę dużą z włoskami...

SABINA.

O już się lalką bawić nie będę...

GWALBZRT.

A pamiętasz łódkę na stawie i łabędzie?...

SABINA.

A motyle, cośmy w sadzie łapali...

GWALBERT.

A kucyka i ten wózek mały...

SABINA.

Jak się wywrócił! co to było śmiechu... Mama się gniewała, a tyś mnie bronił kuzynku i poszedłeś szukać parasolki.

GWALBERT.

Ale bo też jakże można było przejeżdżać przez taki rów szeroki!

SABINA.

Kiedy na łące była śliczna trawa, a kucyk tak trawę lubił...

GWALBERT (*na stronie*).

To będzie ideał żony...

SABINA.

A muzyka! a flet kuzynku, oh! jak ja muzykę lubię...

GWALBERT (*uradowany*).

Muzyka! flet! flet to najpiękniejszy z instrumentów... Mam go zawsze ze sobą, nieopuszcza mnie nigdy... (*idzie i bierze flet.*)

SABINA.

O! tak — flet taki spiewny, rzewny...

GWALBERT (*przerywając*).

Chwała Bogu, że chociaż ty jedna kuzynko oddajesz mu sprawiedliwość. Chciałbym, żeby tu był Zygmunt, on co flet mój nazywa piszczałką, on co mnie prześladuje... (*bawi się fletem*) I nie mogę Zygmunta przekonać nigdy... a jak grać zaczynam to...

SABINA.

To słuchać musi z zapałem...

GWALBERT.

Nie! ucieka.

SABINA.

Aa!...

GWALBERT.

Tak i — nie powraca, dopóki grać nie przestanę.

SABINA.

O! to przyjedź do nas kuzynku! przyjedź do Gorowic, tam będziesz grał do syta, ja słuchać będę, słuchać po dniach całych...

GWALBERT (*na stronie*).

Widocznie nadzieja mi się uśmiecha... taki anioł!

SABINA.

I teraz zagraj... zagraj co, proszę.

GWALBERT.

(*wymawiając się uradowany*)

Kiedy wyszedłem z użycia... od czasu jak tu bawię grałem mało...

SABINA.

Zagraj tę prześliczną aryę... wiesz kuzynku...

GWALBERT (*na stronie*).

Ideał! ideał kobiety... co to za żona będzie! (*głośno*) Tę aryę z „Konia Brązowego,“ z „Beatrix di Tenda,“ czy z „Anny Boleny?“ to najpiękniejsze opery, jakie ludzkość posiada...

SABINA.

Z „Konia Brązowego.“

GWALBERT.

(*ogląda flet i poprawia*)

Nie wiem, czy sobie przypomnę... zaraz, zaraz!... (*bierze jeden ton.*)

Scena XXII.

SABINA, GWALBERT, ZYGMUNT.

ZYGMUNT (*wchodząc*).

Już ta piszczałka...

GWALBERT (*z boleścią*).

A! to flet!

SABINA.

Niedobrym jesteś kuzynku...

ZYGMUNT.

Śniadanie będzie zaraz, a tymczasem Paulina prosi cię kuzyneczko, abyś poszła do niej; jest tam Kasia, twoja dawna niańka...

SABINA.

Jest Kasia!... O jakże się cieszę... moja poczciwa Kasia... którędy mam iść kuzynku...

ZYGMUNT.

(*odprowadzając ją ku drzwiom na prawo.*)

Paulina jest w małym saloniku.

Scena XXIII.

SABINA, GWALBERT, ZYGMUNT, ANTONI.

ANTONI (*wchodząc*).

Stelmach powiedział, iż za godzinę już powóz będzie naprawiony...

ZYGMUNT.

No dobrze, dobrze...

SABINA.

Powiem to cioci. (*do Gwalberta*) Kuzynku! będziesz nam grał w Gorowicach. (*wychodzi*)

ANTONI.

(*wychodzi bocznemi drzwiami*)

Gdyby mój pan był młodszy, hm!...

(C. d. n.)

Konkurs Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu.

Towarzystwo historyczne wierne myśli, która przewodniczyła jego założeniu, widzi cel prac i dążeń nie w oderwanej od życia erudycyi, nie w archeologicznych poszukiwaniach, lecz stara się o ile możności utrzymywać działalność swą w ciągłym związku z bieżącem życiem narodu i baczyć na wszelkie jego moralne, duchowe i polityczne potrzeby. Mowy miewane na posiedzeniach publicznych, niegdyś przez śp. księcia Adama Czartoryskiego, a następnie przez teraźniejszego prezesa Towarzystwa księcia Władysława Czartoryskiego, były i są najdobitniejszym wyrazem tego związku. Rada Towarzystwa sądzi, że i w wyznaczaniu zadań konkursowych ten sam żywotny, praktyczny kierunek powinien być zachowany; wzgląd zaś na obecne położenie narodu więcej aniżeli kiedykolwiek to jej nakazuje. Wypadki 1870—71 roku, rujnując do gruntu cały zasób politycznych wyobrażeń i dążeń, któremi żyły trzy ostatnie pokolenia Polski, sprowadziły w pojęciach i uczuciach ziomków naszych w kraju i zagranicą pewien zamęt i nieporadność. Umysły pozbawione dotychczasowego steru, szukają dla narodu dróg nowych, i jedne w zwątpieniu, inne w obłędzie i ułudzie wpadają na bezdroża.

Wiek nasz płodny jest w teorye, których początek leży w pismach naiwnych nieraz i bezinteresownych erudytów, a które przeniesione potem na pole publicystyki są wyzyskiwane przez rządy i stają się w ich ręku potężnem narzędziem politycznych gwałtów, zaborów i podbojów. Teorye te ponieważ wydają się bardzo proste i naturalne, ponieważ zrozumiałe są dla każdego, przystępne dla tłumu, a przytem bardzo szerokie i tem szersze im płytsze, wywierają niezmierny urok na tych, co sami nie myślą, lecz gotowe myśli przyjmują, to jest na ogromną większość ludzi we wszystkich krajach; ale dla żadnego może kraju nie są one tyle szkodliwe, ile dla naszego. Już słynna teorya czyli zasada narodowości tak skwapliwie pochwycona przez wielu, srodze się nam dała we znaki, gdy rząd moskiewski przedsięwziął za pomocą jej rozsadzić historyczny organizm naszego narodu i nie mówiąc już o Litwie i Rusi, w samym Królestwie odkrył z pół tuzina narodowości, które przyjął pod swoją protekcyę, aby je z pod jarzma polskiego wyswobodzić. Nierównie niebezpieczniejszą dla nas jest grasująca obecnie teorya rasowości, jako też w związku z nią zostająca doktryna wielkich aglomeratów. Że niegdyś w przedhistorycznej epoce, zanim się wytworzyły dzisiejsze narody, Europa zamieszkaną była przez rasy: celtycką, germańską, słowiańską itd., fakt ten należący do etnografii, stanowić ma o przyszłych losach świata. Doktryna ta sprowadzająca historyę i politykę do fizyologii, jednym zamachem pióra przekreśla kilkanaście wieków indywidualnego rozwoju narodów i widzi ideał przyszłości w powrocie do pierwotnej bezróżnicowości barbarzyńskiej epoki. Publicyści służąc widokom rządu moskiewskiego, popełniają przytem fałsz w oczy bijący: biorąc pochop z jedności niemieckiej, wystawiają oni jedność słowiańską jako coś zupełnie podobnego, jako naturalne pierwszej następstwo. Połączyli się Niemcy — tak samo połączyć się mają Słowianie; jak gdyby naród niemiecki, jednolity w sobie, a tylko politycznie dotąd rozdzielony, przedstawiał jakąkolwiek analogię z narodami słowiańskimi, które tak są między sobą różne, które tak głęboko rozdzieliła pod wszelkimi względami, dziesięciowiekowa historya? Cóż dzisiaj jest wspólnego między Polakami i Bułgarami? i czyliż różnica między Polakami i Rossyanami nie jest nierównie większa niż między trzema głównymi narodami romańskiego szczepu? Francuzi, Hiszpanie, Włosi mają przynajmniej wspólną cywilizacyę, jedną religię i wiele podobieństw w rozwoju instytucyi politycznych i pojęć prawnych, a przecież utopiści nawet nie myślą o utworzeniu jedności romańskiej...

Doktryna o jedności słowiańskiej, idea panslawizmu, pomimo wewnętrznego fałszu, jaki w niej leży, nie pozostaje bez wpływu na niektóre polskie umysły. W pośród dzisiejszego zamieszania pojęć, tu i owdzie słyszeć się daje majaczenie o naszym słowianizmie, o wspólnych interesach, które nas łączą z braćmi Słowianami, o jednakowem dla wszystkich przeznaczeniu. Pojawiają się publicyści, bałamucący polskie głowy jakąś misyą słowiańską i nie brak nawet doradców, co w imię wspólności rasowej, którę poważają się nazywać interesem wyższej cywilizacyi, doradzają narodowi naszemu samobójstwo i dobrowolne utopienie się w powodzi moskiewskiego panslawizmu.

W takiem położeniu Rada Towarzystwa chcąc przyczynić się do rozjaśnienia i sprostowania pojęć krzywionych i zacieranych przez fałszywe teorye, postanowiła ogłosić i ogłasza następujące zadanie konkursowe:

„*Wykazać różnice w historycznym rozwoju, w prawie, w instytucyach politycznych, w bycie społecznym, w obyczajach, pojęciach, charakterze, jakie wbrew teoryi panslawizmu odznaczają naród polski, w porównaniu z innymi narodami słowiańskimi, szczególniej zaś ze wschodnią, grecko-bizantyńską tychże gałęzią; wykazać zarazem cechy wspólności, jakie we wszystkich wymienionych kierunkach łączą Polaków z łacińsko-germańską Europą.*“

Celem przeto tej pracy ma być przedstawienie indywidualności polskiego narodu, jak ją wyrobiło dziesięć wieków naszej historyi...

Żądana rozprawa ma wynosić od 10 do 12 arkuszy druku. Ponieważ ostatni konkurs o rok jeden, jak powiedzieliśmy wyżej, przedłużonym został, Rada więc dzisiaj znalazła się w możności zamiast zwykłego dwuletniego terminu ogłosić tylko roczny. Rękopisy zatem powinny być przysyłane bezimiennie, pod adresem Sekretarza Towarzystwa. (Paryż, *Quai d' Orléans 6*) najpóźniej do 1go marca 1873 r., opatrzone godłem wybranem przez autora, a umieszczonem także na osobnym, opieczętowanym liście, zawierającym jego nazwisko, który autor do rękopisu dołączy.

Najlepszej rozprawie przyznaną będzie nagroda 1200 franków; autor pracy drugiej z rzędu otrzyma 600 fr. Na posiedzeniu publicznem d. 3go maja 1873 r. Rada przyzna obie nagrody. Gdyby w oznaczonym czasie nie była nadesłaną żadna rozprawa odpowiadająca warunkom ogłoszonego zadania, w takim razie cała nagroda 1800 fr. przyznaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, ogłoszonego w ciągu bieżącego roku, a które Rada za najlepsze osądzi.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Występy gościnne p. Wincentego Rapackiego, z Warszawy.)

Dziwną jest natura ludzkiej twórczości na polu sztuki. Bo i cóż to jest sztuka? Jeżeli spytam pozytywistę estetycznego, odpowie mi, że: *całkowita zgodność z rzeczywistością;* jeżeli zapytam Hegla, powie mi daleko głębsze słowo, bo powie, że jest to synteza pojedyńczych objawów życia w jednym, idealnym całokształcie, że jest to okazanie na przykładzie jednostki rozpryśniętych w przestrzeni świata zjawisk moralnych. Tak jest w istocie — każda postać dramatyczna o tyle tylko ma uprawnienie, o ile jest zbiorowym wyrazem szczegółów odnajdywanych na każdym kroku życia, o ile jest w stosunku do faktu życia — jego ideą. Życie jest czemś ułamkowem, nie przedstawia w żadnym swoim objawie pełnej, logicznej całości, — z gromady dopiero objawów wytwarza sobie syntetyczny umysł ludzki wyobrażenie o niej. Sztuki chlubnem jest zadaniem przenosić na scenę takie idealne, typowo skończone postacie, w których się przejrzeć i odpoznać może każdy, noszący w sobie choć tylko ułamkowo, pokrewne tamtym rysy charakteru.

Zaczęliśmy dzisiejszą pogadankę aż od definicyi sztuki, bo aż tak daleko myśl naszą zawiódł gość warszawski — p. Wincenty Rapacki. Toż charakterystyczną, właściwą cechą jego potężnego talentu jest to właśnie, że postacie tworzone przezeń nie mają w sobie żadnej li zewnętrznej przypadkowej ornamentyki, ale są odrazu typami o zakresie powszechno ludzkim, są odrazu tak zupełnymi obrazami ludzkiej natury w pewnym jej kształcie, że sztuka w nich schodzi się z życiem na całej jego przestrzeni, tylko że co w życiu jest przypadłością chwili, dyssonansem psychicznym, przeradza się u p. R. w szlachetny wyraz czystej idei. Żaden może z artystów nie zetknął się tak blisko z życiem, jak p. R., żaden nie stanął na tak śliskim gruncie. Krok niżej, a realizm byłby już za silnym, prawda natury za pospolitą; wysoko jednak wykształcony instynkt sztuki u p. R. wskazuje mu zawsze granicę, na której zatrzymać się należy. To skojarzenie się rysów natury najcodzienniejszych, najpospolitszych w jeden artystyczny i piękny całokształt, jest zadziwiającem u p. R. Jak archeolog doszukuje się skwapliwie najnędzniejszego pieniążka, wypłowiałej sztuki jedwabiu, zgruchotanego marmuru, aby z nich odtworzyć po Cuvierowsku fizyognomię przeszłości, tak możnaby się patrzeć godzinami w każdą postać stworzoną przez p. R. i odczytywać z niej pojedyńcze rysy ludzkiej natury, zbierając kamyk po kamyku, budować z nich drgającą życiem całość. Trudno o gruntowniejsze studyum życia, jak to, które przebył p. R. Nie wiemy, czy jest znakomitszym psychologiem, czy humorystą, czy anatomem, ale to wiemy, że na widok gry jego owłada nami takie jakieś serdeczne zadowolenie, taki sybarytyzm wrażeń, jak zresztą nigdy; bo wszelka prawda jest ciepłą i twórczą, a gra p. R. jest obrazem najczystszej prawdy, dla tego tak grzeje, tak mile podraźnia... Przytem jest inna wysoka w niej zasługa.

I tu spełnia artysta dzieło może jeszcze wyższe — rzekłbym etycznej natury. Umie on swoim postaciom nadawać zawsze grunt serca poczciwy. Komizm wydaje się przez to ułagodzonym, jakkolwiek nie traci nic ze swej siły. Jakaś słodycz duszy wyziera z pod rysów niby szorstkich, niby surowych takiego Leonidasa Vauclin, Jana Zrzędy, marynarza Cadillac... Zdaje nam się jakby artysta pogodnym wzrokiem na świat ludzkich przywar patrzący chciał do nas mówić ze sceny: w każdym człowieku spoczywa boże ziarno dobrego!... A z tym zacnym na świat poglądem artysty łączy się i spełnienie najwyższego warunku sztuki, bo i ona żąda, aby jej postacie, choćby ujemne, miały w sobie trochę przecie dobrego pierwiastku, bo absolutne zło nie cierpi piękna, ani piękno absolutnego zła... W tem bierze swój początek pewien czar sympatyczny, jakim owionięte są postacie tworzone przez p. R., każący w nich nietylko podziwiać artyzm wykończenia, ale i sercem przylgnąć do ich łagodnych kształtów.

Gdy jeszcze dodam, że charakterystyka zewnętrzna u p. R. jest zawsze wyborną, po mistrzowsku przemyślaną, że cała figura jego, każdy ruch i odcień fizyognomii układają się zawsze w jeden logiczny, jednolity wyraz, to sądzę, wypowiedziałem wszystko, co po kilku pierwszych rolach tego artysty na prędce da się wypowiedzieć.

W Piątek (d. 10 Maja) przedstawiono 4-aktową komedyę Sardou: Safanduły, w przekładzie G. Czernickiego. Jeszcze słowo o Wiktorynie Sardou... Zdaje mi się, że nikt dotąd nie zwrócił uwagi na tę zupełną odrębność formy, jaką ten pisarz wprowadza do komedyi. Molier umiał wywoływać wielkie efekta przez silne kontrasty charakterów. Zwykle w ramach tej samej sztuki, na tle tej samej namiętności, tej samej przywary cieniowi przeciwstawił albo światło, albo nadmiar światła. W takim razie każdy odcień ludzkiego charakteru dopatrzonym był z podwójnego punktu widzenia. Jeżeli myślą sztuki był np. obraz nieumiejętnego zarządu swem mieniem, to obok skąpca stawiał utracyusza. Wziąłem ten przykład, bo ogółowi najbardziej znanym. Było to wygodnem, ale może zbytecznem. Lepiej czynił wtedy, gdy obok śmieszności i przywary kładł pozytywną wartość moralną, stawiał człowieka wzorowego, niby nagi przykład dla widzów, jakimi być mają... W takim razie uniknąć mógł moralnych tyrad, które nawet genialną Moliera kreślone ręką, muszą być zawsze trochę ckliwymi. Nie uniknął ich Molier, bo się w nich lubował, ale w każdym razie stworzył nową formę komedyi, która przetrwa wieki. Sardou w oryginalny sposób lubi wyrażać myśl swych utworów. Chodzi mu także o całość idei. Nie mogąc jej zaś pomieścić w kształtach jednej postaci, bo ta musi być zawsze jednostronną, rozkłada ją na kilka, ba, na całą grupę figur ekscentrycznych, typowo wyłącznych, a jednak ten sam rys charakterystyczny mających za tło duszy. Widz dopiero pozbierać musi rozbieżne te szczegóły, okazane na różnych postaciach w jedną całość, a wtedy aż wyłoni mu się jasno cała myśl autora — jego zamiar moralny. Świadczy to zresztą o wielkiej bujności fantazyi u Wiktora Sardou, która mu pozwala tworzyć zawsze grupami i to tak, że żadna postać się nie powtarza w drugiej...

Tak jest w „Rodzinie Benoiton," tak w „Starych kawalerach," „Naszych najserdeczniejszych," tak przedewszystkiem jest także w „Safandułach," gdzie zgromadza pod stropem jednego dachu trzy epoki dynastyczne Francyi zagorzałe w swych przesądach i wyłączności. Wielka rewolucya z r. 1793 przedstawiona w Leonidasie Vauclin, restauracya w margrabi de la Rochepéans, Orleanizm i rządy mieszczańskie we Fromentelu... Ludzie ci niekontenci z dzisiejszych czasów, w których uprzątnięto i rewolucyę i restauracyę i Orleanizm, zrywają z istniejącym porząd-

kiem rzeczy i osiadają w bezładnem Quimperlé. Każdy jest co najmniej zadąsanym po śmierci Patrokla Achillem... W tem oderwaniu od ciepłego prądu życia wytwarza się w nich hypochondrya, zgryźliwość i safandulstwo — i oto tytuł sztuki i jej motyw, wyznać należy, wybornie z archeologiczną wiernością rysów przeprowadzony.

P. Rapacki (Leonidas Vauclin) stworzył postać — bez zarzutu. Był zarazem wychowańcem konwentu i grozy rewolucyjnej a w samą miarę i — safandułą. Przedziwną była przybrana szorstkość tonu, przypominającego terroryzm 1793 r., owa nad otoczeniem panująca jędrna powaga stoika, dobitność expresyi i ruchów, w której czuć było człowieka najoryginalniejszej epoki, jaką świat wydał, a z po za tych spiżowych fałdów jakobińskiej draperyi wyłaniający się przecie grunt serca ludzki, rzadka tkliwość i sielankowa, jak ktoś powiedział, łagodność usposobień... Zebranie tych rysów w pełną, wykończoną aż do najlżejszych szczegółów całość wydało prześliczny, bezprzykładnie sympatyczny charakter.

Nie w całości wprawdzie, ale we wielu chwilach mistrzowską była także gra panny Deryng (Małgorzata). Tylko artystka tak wszechstronna mogła z równie odpowiednim wyrazem, z równym wdziękiem, naturalnością i prawdą przeprowadzić ten charakter we wszystkich, tak odmiennych fazach jego rozwinięcia. Jeżli już naiwność Małgorzaty nie była ani przez chwilę „sztucznem udaniem,“ ale najistotniejszą prawdą, jeżeli też nie była bezmyślnem paplaniem 17-letniej gąski, ale naiwnością pełną słodyczy i oryginalności, noszącą w sobie wszelkie cechy i zarody przyszłego dojrzenia w kobietę „pięknej duszy,“ to prawdziwie mistrzowskie pomysły zachowała panna D. dopiero na drugą część swej roli, gdy ta przechodzi w nastrój dramatyczny... Zkąd wydobywa młoda artystka te swoich natchnień brylanty, ja nie wiem—ale to wiem, że w grze jej pewne nagłe zwroty świadczą o takiem wniknięciu w tajemnice moralnego i fizycznego cierpienia, o takiem przestudyowaniu życia, jak gdyby panna D. była już u końca swego zawodu... A przecież i ja ośmieliłbym się uczynić jej małą uwagę, która może być pożyteczną na przyszłość... Niech szuka ciągle nowych form na wyrażenie pewnych uczuć i pewnych stanów duszy... Dostrzegliśmy u panny D. za często pewnych ruchów, które, mając być illustracyą gry wewnętrznej, są zupełnie uzasadnionymi i wysoce pięknymi, ale może za często się powtarzają — a na scenie życie nie powinno się powtarzać. Kto ma taki zasób oryginalności w swej artystycznej fantazyi, jak panna D., temu aż nadto łatwo przyjdzie wyrzec się wszelkiego konwencyonalizmu i być ciągle nowym, ciągle twórczym...

P. Linkowski (Fromentel) jest artystą bardzo pomysłowym, ale ma jedną wadę, która niweczy dobre wrażenie jego gry. Nie troszczy się o prawdę życia. Komizmu swego nie opiera na komizmie rzeczywistości, ale stwarza sobie ekscentryczne pomysły i przesądne formy, mające w sobie bez wątpienia bardzo wiele werwy, ale też wiele urojeń. Mniej wybredna publika da się na lep pochwycić, ale niektórzy widzowie pytają o inne warunki sztuki, o prawdę i spokój... Jego Fromentel jest postacią w zasadzie dobrze pojętą, pełną właściwych rysów i szczerze komicznych ustępów, ale cóż, kiedy co chwila musi nas urazić jakaś płaskość, jakiś trywialny figiel... Gdyby się p. L. chciał zapatrzéć w ten wytworny spokój komiki u p. Rapackiego, a dodawszy własną oryginalność, byłby nader cennym artystą. Pani Hubertowa (panna de Forbac) byłaby znakomitą tej roli przedstawicielką, gdyby również umiarkowała niektóre swe za przesadne maniery, a przedewszystkiem, gdyby cały nastrój roli o jeden ton podniosła, nadając jej więcej towarzyskiej dystynkcyi. Pan Kwieciński (Urban Fromentel) może sobie szczerze powinszować tej roli; grał ją z doskonałym humorem i wybornie schwyconem zacięciem cynicznego roztrzepańca, dając tem właściwą Dyrekcyi wskazówkę, gdzie leży odpowiednia sfera jego talentu. Pp. Królikowski (Margr. de la Rochepéans), Woleński (Marceli Cavalier) i Podwyszyński (Bourgogne) wywiązali się zadowalniająco z powierzonych im ról.

We Środę (d. 15go b. m.) wystąpił p. Rapacki w 1-aktowej komedyi Aleks. hr. Fredry „Zrzędność i przekora“ w roli Jana Zrzędy, jakoteż we francuzkiej komedyi: „Ciężka próba“ w roli kapitana Cadillac. Obie te postacie są charakterami zupełnie innego typu, a przecież obie zostały przedstawione z rzadką trafnością. Cośmy powiedzieli na wstępie o łagodnym a zawsze umiarkowanym naturalizmie gry u p. R., to się najbardziej właśnie da zastósować do roli Jana Zrzędy, która mogłaby stać się wstrętną, gdyby nie była z tak mistrzowskim taktem oddaną. Cadillac, rubaszny i klnący marynarz, któremu piękna hrabina de Meyran (pani Nowakowska) tylko pod tym warunkiem ofiaruje swą rękę, jeżeli przez jedną godzinę kląć zaprzestanie i znoszący w tej godzinie męki Tantala, powleczony został przez p. R. tak sympatycznym kolorytem, że podobnych raptusów daj Boże światu jak najwięcej! Wysoce komiczne a przytem jakże delikatne było pasowanie się Cadillaca z marynarską nawyczką, a zarówno pięknem i uczucia pełnem opowiadanie o śmierci towarzysza broni. W komedyi Fredry p. Konarski (Piotr Zrzęda) grał często z właściwie uchwyconym wyrazem, ale w ogóle za blademi nałożył całą postać barwami, zwłaszcza w obec tak wyrazistej i silnej charakterystyki u p. R. Panna Deryng (Zosia) i p. Woleński (Lubomir) tworzyli parę kochanków rzadkiego wdzięku i swobody, a w grze p. D. odkryliśmy znowu parę tak wybornie życiu odkradzionych rysów, że dobrzeby nader było, gdyby nasze artystki pilnie za nimi w grze jej śledziły i sobie takowe co prędzej przyswajali. Rola hrabiny de Meyran w „Ciężkiej próbie“ była nazbyt łatwem dla pani Nowakowskiej zadaniem, abyśmy potrzebowali dodawać, że odegrala ją z powabną elegancyą i ujmującą słodyczą.

Bronisław Zawadzki.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

(Wieczorki towarzystwa muzycznego.)

Z dniem 10 maja b. r., zakończyło Towarzystwo muzyczne szereg 18tu wieczorków. Nigdy z większemi trudnościami nie było ich urządzenie połączonem jak w tym roku. Nieszczęśliwej pamięci bezmyślna opozycya chociaż szczupłej garstki malkontentów w łonie towarzystwa, przelotna słabość dyrektora wyprzedzająca smutną katastrofę śmierci brata jego, choroby i zgryźliwe w rodzinach wypadki, które ośmiu uczennicom i uczniom p. Mikulego uniemożniły występowanie publiczne—wszystkie te zajścia nie były zbyt korzystnymi czynnikami dla rozwoju wieczorków.

Jakże się mimo to pan Mikuli z podjętego zadania wywiązał? Siłami, które mu do rozporządzenia pozostały wypełnił klasyczne programy, tak iż śmiało wyrzec możemy, że publiczność zeszczuplenia sił nie uczuła, co

więcej mimo tylu przykrości nań uderzających sam często w ostatniej chwili zapełniał grą swą powstałe luki.

Ten ostatni wypadek zaszedł i na ostatnim wieczorku. W chwili bowiem kiedy już wieczorek się zaczynał, panna G. tak się uczuła słabą, że o wystąpieniu myśleć nie można było. W jej zastępstwie odegrał p. Mikuli Trio (d-moll) Mendelssohna, bez poprzedniego przygotowania się, bez jednorazowej próby nie grawszy go dotąd nigdy z pp. Bruckmanem i Wollmanem.

Pan Mikuli był niedoścignionym. Tak nagła potrzeba zastąpienia panny G. nie dała mu czasu do poddania się pewnemu nerwowemu rozdrażnieniu, które nieodstępnym bardzo wielu artystów przy wystąpieniach publicznych jest towarzyszem; podwójnie skupiona uwaga spotęgowała wybitne gry jego własności: energię, ciepło, wysoce idealną poezyę. Toż najwybredniejszy muzyk, najsurowszy krytyk w każdym takcie musiałby podziwiać p. Mikulego. Pp. Br. i Woll. o lepsze z sobą idąc wspierali go w wykonaniu partyi smyczkowych.

Nokturn Chopina i Sonata Scarlattiego odegrane przez p. R. z najdelikatniejszem cieniowaniem zjednały jej niezwykle przeciągłe i huczne oklaski.

Kontrasty Moschelesa na dwa fortepiany (p. Mikuli i panny B., R. i Zl.) szczerze wyznajemy, nudne zbytnią swą rozciągłością w braku oryginalnych pomysłów, znużyły nas nieco, chociaż wykonanie ich na wszelkie zasługuje uznanie.

Część wokalna, ta najsłabsza strona wieczorków składała się z dwoch pieśni choralnych na głosy damskie i z jednej na głos męzki. Chór w całości wypadł dobrze.

Z ostatnim wieczorkiem chciałbym rzucić ogólny choćby pobieżny na nie pogląd.

Programy ich atoli są nieobecnej na wieczorkach publiczności z kronik dzienników politycznych wiadome, ocenianie zaś każdego z osobna na zbyt szerokie zawiodłoby mnie pole. Łatwiej a może stosowniej nawet będzie na zapytanie odpowiedzieć, jaki cel miały i jaki skutek osiągnęły?

Celem wieczorków było obznajomienie szerszej publiczności z pierwszorzędnymi utworami muzyki pokojowej (*Kammermusik*) szkoły starowłoskiej, klasyczno-niemieckiej, nowo-romantycznej i najnowszej, o ile ta na tradycyach arcymistrzów oparta, rozpowszechnienia jest godną. Celem wieczorków było dalej przedstawienie tejże publiczności sił Towarzystwa muz., a mianowicie sił fortepianowych; celem wieczorków było wreszcie przysporzenie dochodów dla Towarzystwa muzycznego.

Tej ze wszech miar szlachetnej i uciążliwej pracy podjął się bez żadnych dalszych korzyści, jak zaofiarowanie drogocennego czasu i znoszenie częstokroć przykrych kolizyi, dyr. Tow. muz. p. Mikuli.

Wieczorki te osiągnęły w zupełności cel wskazany. Obznajomiły publiczność z bardzo wieloma utworami najznakomitszych mistrzów. Obok dzieł Corellego i Scarlattiego doznały utwory Bacha, Mozarta, Beethovena, Schumana, Mendelssohna, Schuberta, Chopina i całej współczesnej nam szkoły servo muzycznej z Bramsem na czele najgościnniejszego przyjęcia, świadcząc o coraz bardziej podnoszącym się u nas smaku artystycznym i coraz silniej wzrastającem zamiłowaniu w prawdziwie pięknej muzyce. Wieczorki te dalej wykazały owoc prac p. Mikulego, przedstawiając publiczności liczny szereg uczennic i uczniów jego, rokujących pomyślną dla sztuki przyszłość. Wieczorki te w końcu przysporzyły dosyć stosunkowo znaczny dochód Towarzystwu muzycznemu.

Publiczność chcąc uznanie swoje i wdzięczność panu Mikulemu okazać obsypała go na ostatnim wieczorku kwiatami, a Wydział, jak się dowiadujemy, złożył mu najżywsze podziękowanie, na co miał szanowny Dyrektor odpowiedzieć, że i nadal pracy swojej około dobra sztuki i Towarzystwa nie poskąpi.

Z prawdziwym żalem rozstajemy się z wieczorkami, z nadzieją jednak, że na przyszły rok powitamy znowu szanownego Dyrektora, otoczonego gronem swych uczniów w sali wieczorkowej, gdzieśmy tak wiele spędzili chwil miłych.

Z najbliższym „Przeglądem“ obrócimy nasz wzrok gdzieindziej — i poddamy sumiennej krytyce usiłowania Dyrekcyi teatru około założenia polskiej opery we Lwowie, jakoteż dotychczasowe ich owoce.

Prawdzic.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Akademia umiejętności w Krakowie. Dnia 11 i 13 b. m. odbyły się w krak. Towarzystwie naukowem wybory 12 pierwszych akademików-założycieli. Z wydziału nauk moralnych wybrani: *dr. Kremer, Pol, Szujski, dr. Walewski, Siemiński, dr. Mecherzyński, dr. Dunajewski* i *Estreicher;* z wydziału lekarskiego: *drdr. Teichman, Majer, Skobel* i *Kuczyński.*

HISTORYA. *Rada Towarzystwa histor.-lit. w Paryżu* udzieliła na swem publicznem posiedzeniu d. 3. Maja b. r. większą nagrodę konkursową 1200 fr. p. *Teodorowi Morawskiemu* za *„Dzieje narodu polskiego,“* zaś mniejszą 600 fr. p. *Michałowi Bobrzyńskiemu* za rozprawę *„o Unii lubelskiej r. 1569 i przygotowujących ją wypadkach od zjazdu horodelskiego.“*

— *Dr. Henryk Zeissberg,* prof. historyi na wszechnicy w Insbruku, dawniej we Lwowie, otrzymał nagrodę lipską ks. Jabłonowskiego za dzieło: *„Źródła do historyi polskiej.“*

NAUKI PRZYRODNICZE. *Böhmer dr. Heinrich. Geschichte der Entwickelung der naturwissenschaftlichen Weltanschauung in Deutschland.* Gotha. Besser 1872. Zajmuje się wpływem nauk przyrodniczych na rozwój umysłowy i literacki Niemiec, przemianą wyobrażeń i poglądów na naturę w dobie romantyzmu (1800—1815), wreszcie obecnym stosunkiem tychże nauk do życia.

— *Dr. Zimmerman. Dziwy świata pierwotnego* czyli: *Kolebka wszechświata,* przełożył z 23-go wydania niem. Teodor Dziekoński. 2 wydanie. Warszawa, Merzbach 1872.

TEATR. W teatrze *krakowskim* rozpoczęła pani *Modrzejewska* szereg 6-ciu gościnnych występów. Po raz pierwszy grała *„Frou-frou.“* Tamże przygotowują operę komiczną J. Offenbacha: *„Piękna Helena.“* Partyę tytułową śpiewać będzie pani *Hoffman-Majeranowska* z Warszawy. W pierwszych dniach przyszłego miesiąca wyjedzie teatr krakowski do Poznania i Krynicy. — *Warszawska opera polska* rozpoczyna wkrótce sezon letni, podczas którego śpiewaną będzie opera Ambrożego Thomasa: *„Mignon.“* Rolę tytułową objęła pani *Miller-Czechowska.*

ROZMAITOŚCI. *Seweryn Goszczyński* przybył do Lwowa d. 12 b. m. i zamieszkał u pp. Sulikowskich (*Ul. Krasickich nr. 10*). Obecnie zabawi we Lwowie przez kilka tygodni, poczem odbędzie dłuższą wycieczkę do Tatr.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.